N[er] 49. Kraków, 9[go] Grudnia. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. —Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Od Redaktora.

Zacznie się już po nowym roku ćwierćrocze dziesiąte *Niewiasty*. Zapraszając do przedpłaty, niechcę używanemi frazesami ani się odwoływać do przeszłości, ani wskazywać na przyszłość!...

Powiem tylko, że chcę wiernym pozostać raz zakreślonemu programatowi, wiernym myśli kierowniczej, która mnie przywiodła do wydawnictwa *Niewiasty*.

Działać na umysły Niewiast i kształcić je w duchu wzniosłym i szlachetnym, jest to działać na myśl narodu, i kształcić myśl narodową, bo niewiasty, jako matki, są wszędzie piastunkami następujących po sobie pokoleń.

Mianowicie polskie niewiasty, które jak dawniej, tak i teraz, chowają w swych piersiach święty zapał ojczystej miłości. Polskie niewiasty są kapłankami rodziny. A póki ostatnia polska żyć będzie rodzina w prawdziwem tego słowa znaczeniu: żyć będzie polska myśl, polskie uczucie, i polska mowa, słowem mówionem, czy pieśnią przebiegającą ziemię naszą.

Przez Niewiasty kształcić społeczeństwo i naród, to była i jest myśl cała mego wydawnictwa.

Jeżeli dotąd nie dopiąłem w zupełności celu mego, nie me chęci są winne, ale te wszystkie trudności z jakiemi pismo u nas każde walczyć musi.

Do celu tego dążyć bezprzestannie będzie i nadal zadaniem mojem. By go łatwiej osiągnąć, zamierzyłem w tym roku podnieść część beletrystyczno-powieściową, jako najprzystępniejszą i najżywiej działającą w kierunku społecznym.

Jakoż uzyskałem współpracownictwo stałe jednego z najzdolniejszych powieściarzy naszych. Jeden z jego lekszych, a najświeższych utworów do mego pisma umyślnie napisany, umieszczam właśnie pod tyt.: *Druchna.*

Postarałem się także o udział wielu innych znakomitości literackich, których utwory w tym roku urozmaicą pismo moje artykułami moralnej treści, biografiami sławnych niewiast, poezyami, rozbiorami wreszcie wszystkiego co w piśmie, na scenie, w sztuce pędzla, czy dłuta... odznaczy się w znaczeniu prawdziwie artystycznem.

Co przyrzekam, będę się starał dotrzymać, bo przedsiębiorstwo moje bez przesady nazwać mogę przedsiębiorstwem przekonania, przedsiębiorstwem serca. Że jest niem, temu służyć może to za dowód, że, mimo dotkliwych strat materyalnych, od myśli mej, którą mam za myśl poczciwą, nie odstępuję. Ziarna rzucać nieprzestanę, bo i ziarno nasze i rola nasza, i plon, choć później zejdzie, naszym będzie.

Tem więc śmielej mogę się udać do Was, zacne Czytelniczki moje! bo wy sercem na serca odpowiadać najlepiej umiecie. W waszem jest ręku podnieść i ustalić pismo moje, by Wam, piśmiennictwu, i narodowi poszło na sławę i pożytek. Do Was się udaję, byście w waszych kołach rozprzestrzeniały to pismo. Nudzić Was nie myślę przytaczaniem tych wszystkich materyalnych trudności, z jakiemi dziś, choć na własnej ziemi, każde wydawnictwo walczyć musi. Mniemam tylko, że pół słowa.... domyślności waszej wystarczy...

Dodam jeszcze, że zwiększająca się liczba prenumerujących włoży na mnie obowiązek, który uroczyście biorę na siebie, podniesienia pisma stosunkowo tak w wartości, jakoteż w objętości artykułów. Szczęśliwy byłbym, gdybym był w możności od czasu do czasu dołączać dodatki, któreby zarazem tworzyły pewną całość, czy to jako powieści, czy jako rozprawy i t. d. Równie też zamyślam dla lepszej kontroli pocztowej dawać kwartalne a prędzej miesięczne spisy drukowane nazwisk osób Prenumerujących.

Dołączają się Listy Zwrotne dla ułatwienia w przesyłce przedpłaty Szanownym PP. Prenumerantkom.

Wychowanie Rodzinne.

List X. Wojciecha z Medyki.

(Zobacz Nr 42, 43, 47 i 48).

III.

Dziecię, to materyał z którego wyrabiają ludzie swojemi wpływami albo posąg harmonijny, klasyczny, albo zwichnięty, koszlawy. Sztuka lekarska ochrania ciało człowieka, o ile sięga gimnastyka wzmacnia je, a pedagogika prawa, karmi i prowadzi duszę jego. A więc ludzie czuwają nad dzieckiem, i dają mu ciało miękkie, albo hartowne; równie wyrabiają i duszę z namiętnościami szlachetnemi lub brudnemi; kierują wolą człowieka wprost, wspak, i wyrabiają serce czułe, szlachetne, giętkie i stałe; albo twarde, zawzięte, zimne, niecne. Dziecię, pozostawione samemu trafowi, wyrosłoby na dziwoląga, na istotę bez pewnego, bez dobrze pomyślanego celu.

Zaglądnijcie w dzieje ludów czy to starożytnych, czy średniowiecznych, czy teraźniejszych, czy to pogańskich, czy chrześciańskich, a te wam powiedzą, że się zawsze wyrabiają ludzie na podobnych tym, którzy ich otaczają; że takie jest życie człowieka, jakie jest życie jego rodziny, jego rodu, jego narodu. Pierwsze ludy ziemi, po straceniu świętej tradycyi, były srogiemi zwierzętami, i nie ma częstokroć u nich śladu, aby się ktokolwiek odznaczył piętnem człowieka. Ich dzieje to noc prawie jak u zwierząt, to gra namiętności nieprzestan na. Nie było tu rodzin właściwych, nie było wpływu dobrego, to też rosły sobie te ludy jak drzewa w lesie, jak zwierzęta w kniejach, od kolebki do grobu wiodły je namiętności. A jeżli gdzieniegdzie widzimy postacie jakie zacniejsze między niemi, to je urobiła potrzeba, raczej Opatrzność, ale nie teorya natury.

Potrzeba zasad stałego, porządnego wychowania. Nawet plastyczni Grecy, owi cywilizatorowie starożytności pogańskiej, sięgający w głąb abnegacyjnego chrześciaństwa, nie mieli rodzin, boć u nich dziecko niebyło własnością ojców, jeno państwa: ojciec był raczej filarem kraju niż opiekunem rodziny; obywatel każdy wartał coś jako Grek, ale nic nie znaczył jako człowiek sam w sobie; rodzina każda rozpływała się w państwie, jak kropla wody niknie, gdy spada do studni. To też nie rodzina trudniła się wychowaniem dzieci, jeno państwo, a dziecię skaleczałe lub ułomnie narodzone nic nie wartało, i było zabijane jako rzecz nieużyteczna państwu. Owi bohatyrowie Homera są utworem poezyi, tej córy niebios, ale nie byli nigdy tacy w rzeczywistości w Grecyi, a jeżeli byli bohatyrowie, to wyszli nie z rodzin, jeno z potrzeb państwa. Później były szkoły w Grecyi, niby akademie, np. w Atenach itd., ale tam chodzili sami wybrani i trzeba było setki mil zrobić i lądy i morza przejechać, aby dojść do jakiego mistrza. O jakże wyżej stoimy dziś w tym względzie nad owych Greków... dla tego, że rodzina u nas jest sobie sama drobnem państwem, że ma swoje odwieczne ustawy, swoje boskie prawa że jest niezależną w sobie monarchią, że czuwa nad dziatwą i jest najlepszą akademią, bo nauczycielką jest serdeczna matka, ona tu królową na ziemi i namiestniczką Bożą, ona sędzią i prawodawczynią — ona niezależy tu od nikogo, nawet od państwa, w którem żyje, a kodex jej, to macierzyńskie sumienie. Zaiste na tém polu stoi każda matka najwyżej i jest najwolniejszą osobą! Weźmy w rękę biblią starego zakonu i przeczytajmy dzieje Izraela, który w starożytności był jedynym i wybranym — a uznamy, że ten lud Boży stał najwyżej, widać też w jego dziejach rozum czysty. Mojżesz, prawodawca Boży, wyrobił z tego niewolniczego ludu naród posągowo-moralny — żydzi dawni, to rozum, u nich nie było serca i nie było zupełnych matek, ani też nie było naszych rodzin chrześciańskich, ani też nieprzyciągli nikogo do siebie, ani swego bożego światła nie rozszerzyli daleko, oni żyli w odosobnieniu jako naród zakonny. O jak wyżej stoi u nas każda matka i rodzina! matka tu jest samą miłością uosobnioną, a rodzina jakby ogrodem rajskim, gdzie serce matki grzeje wielkim wybuchem, a rozum ojca świeci słonka światłem, a każde dziecię jako roślinka rośnie pod temi potęgami jakby drzewko w tym rajskim ogrodzie, rośnie swobodnie pierwej na człowieka, a potem dopiero dostaje mu się pewny zawód obywatelski. Nawet owi potężni Rzymianie, co to brali światło od Greków, nieprześcigli ich, boć uczeń nieprzechodzi prawdziwego mistrza. Rzymianki, to kobiety państwa, ale nie cichej rodziny; jako gospodynie miały szanowne stanowisko w domu, ale jako matki były przez pół prawdziwemi matkami, gdyż chowały dzieci dla kraju, ale nie dla człowieczeństwa i ludzkości. Obywatel rzymski był głośny w starym świecie, ale jako człowiek nic nie znaczył. Państwo dawało mu znamie obywatela rzymskiego, ale nie dawało mu znamienia człowieczeństwa w całem słowa znaczeniu. Jako podpora kraju był widzianym i za to trzymanym, a jako człowiek sam w sobie i w rodzinie był bez znaczenia. To też dzieci rzymskie uczyły się praw kraju, później szły pod dozór pedagogów, uczyły się języków, czytały narodowych pisarzów, poetów, mowców, a po 15m roku mianowano ich publicznie na rynku obywatelami, i dawano im szaty obywatelskie—jako młodzi obywatele szli do starych i wypróbowanych obywateli do nauki; albo szli do wojska—potem zwiedzali kraj grecki, słuchali filozofii tamże i kończyli swoje wychowanie. O ileż wyżej stoi u nas rodzina i matka! Matka nasza... to niesługa czyja na ziemi, to sługa Boża, ona dla Boga chowa dzieci najpierwej, a potem dopiero oddaje je krajowi; dzieci mają być pierwej ludźmi cnotliwymi, pobożnymi i t. d. aby mogły być dobrymi urzędnikami i patryotami. W rodzinie naszej tam się zaczyna wychowanie, gdzie się po bożemu zaczynać powinno, a w starożytności było ono odwrotne; w rodzinie naszej Bóg, sumienie i serce jest początkiem wychowania, a w starożytności było jeno prawo krajowe; z naszych rodzin mają wyjść ludzie-obywatele, a starożytność miała jedynie obywateli na względzie — to też bohatyrowie dawni są wzorami dla nas jako obywatele, ale nie jako ludzie. Pamiątki po nich: rozumy olbrzymie, piramidy niebotyczne. A pamiątki naszych bohatyrów... to czystej miłości, łez, ofiar, poświęcenia — a takie skarby niebios wpaja jeno nasza rodzina w duszę dziecinną, takich pereł Bożych nie znała starożytność. Bohatyr dawny ciągnął za sobą ludy na łańcuchach..... a nasz bohatyr wiedzie za sobą ludy płomieniem serca, przywiązaniem. Dawniej był rozum ludzki panem wszechwładnym, to też nie było tu wielkiego pola dla matki, ona też nie była tu wolną, ani w rodzinie znaczną. Ale u nas serce ma jedno prawo z rozumem, a na tem polu jest niewiasta panią, może bujać jak sokoł popod obłoki, może lać w serce dziecka tyle miłości, ile wody niesie wodospad Niagary w bezdenną kotlinę; nasza matka może całe niebo umieścić w tem drobnem a niezgłębionem i nienasyconem sercu swego dziecka. Nasza rodzina, jako Boża rószczka, zakwitła po człowieczemu, jako róża niebieska roznosi woń i kwiat, nim wyda owoce, a jako słoneczko Boże świeci i grzeje na około, w niej serce jest osią życia, w niej życie serca jest naczelnem — kiedy serce ogrzane po-

dostatkiem, wtedy potrzebna klamra rozumu, aby serce nie pękło. U nas serce to zdrój życia wielkiego i pięknego, i ta matka jest chrześciańską... jedyną westalką tego Bożego ognia, który wiecznie trwać powinien. Ona jedna ma dar i tajemniczy klucz do serca — ona jedna jest głową małych dziatek, i stoi tu wyżej nad samego ojca; dom rodzinny to rola i siejba dla serca. Pierwszą lekcyą dla dziecka jest pierwszy całus, który bierze od matki wraz z tuleniem go do piersi, a potem piosenka rzewna, którą mu matka nuci trzymając je na łonie swem, nad kolebką; dalszym ciągiem tej lekcyi Bożej jest łza lub uśmiech, potemu: pierwsze słowo: mama, tata, Bozia i t. d., a coraz dalej ta opieka czuła i ta cierpliwość święta, z jaką otacza ręka, oko, myśl i serce matki to dziecię, nim urośnie i dom opuści i w świat pójdzie daleki. Nie od kolebki- ale od serca matki rozpoczyna dziecię swój żywot, pierwsze poznanie matki i uśmiech do niej dziecięcia, to pierwszy krok do dalszego życia, jaki czyni duszyczka dziecka drobnego; a kiedy ono wymówi pierwsze słowo, to tam w jego duszy leży już spory świat, zgromadzony i gotowy—i wyjdzie na jaw, gdy się dziecka język rozwiąże słaby; a kiedy w drugim lub trzecim roku za cznie opowiadać co dziecię, to tam są w główce jego liczne wyobrażenia, ale pogmatwane, bez początku i końca, tam więcej rzeczy niż słów na języku, tam większe skarby od tych, których się matka domyślić może; tam są zasoby, zmiany, których matka ogarnąć, pojąć nie zdoła. W tych latach dziecię potrzebuje uwagi i opieki matczynej najbardziej. Niestety! nie wiele mamy takich matek, bo dzisiaj bawi się dziecko z boną, piastunką poza okiem matki. Jeżeli niektóre matki nie karmią same swych dziatek przez słabość zdrowia swego, to niechaj przynajmniej czuwają nad poczynającą swój żywot duszą dziecka, a takie nauczycielstwo nie utrudzi matki, bo to nauczycielstwo nie polega na żadnym systemie, na żadnej teoryi, bo to nauczycielstwo wymaga ustawicznej rozmaitości, i nią sobie ulgę przynosi; duszyczka dziecka wolniejsza i bujniejsza od motyla, co leci z kwiatka na kwiatek, i ledwo chwilę posiedzi na miejscu, ta duszyczka, ten motylek niebieski, ma kwiaty z nieba w sobie, które na tej ziemi mają urość i owoc wydać — owoc, który niema być pośledniejszym od korzenia kwiatu, owoc, który ma doweść potęgi Bożej, a dowiedzie jej, rozwijając się naturalnie wedle praw Bożych. Taki dozór w 3cim lub 4m roku jego życia nie jest trudnym, boć natura dziecka jest sama przez się prostą i naturalną teoryą, tu nie trzeba niczego porządkować, tutaj jedynie należy rozwijać, budzić, a dopiero w szóstym lub siódmym roku, rozumie się, że według rozwoju dziecka, trzeba pomyśleć o systemie edukacyjnym, o porządku, któremu poddać należy gotowe materyały. O matki, matki polskie! jeżeli macie mało... albo nic nie macie polsko-bożego serca, jeżeli was dzieci po urodzeniu do 5go, 6go, lub 7go roku tylko z nazwy znają, to te dzieci nie będą szczęśliwe, boć ich serce nie obudziło się tętnem waszego serca, wyście nie odziały tego młodego serca w szaty poezyi Bożej, ono niema dźwięku i ruchu Bożego, jeno ma ruch obcych ludzi, takie serce może płakać, rozczulić się, ale z niego niewypłynie pieśń miłości Bożej, miłości rodziny, miłości ojczyzny; życie takiego sztucznego serca nie będzie miało barwy wonnej i lazuru niebios, takie serce zbłąka się, albo się straci dla narodu i dla ojczyzny.

O Polki! miłość serc waszych Boża, napełnia serce taką poezyą rodziny całej i narodu, że ta poezya ozłaca na całe życie charakter dzieci; że pierwsze barwy tej poezyi z dzieciństwa nie dadzą się później zatrzeć ciosami losu, obczyzną, ponętami świata! Można pisać o umoralnieniu ludu i dzieci, można dawać zdrowe rady, można budzić w dziecku poczucie wstydu i głos opinii, i punkt honoru i t. d., ale ta budowa moralności nie będzie trwałą: obali ją podszept szatański, rozum samolubny, namiętność, wybieg, wykręt — ale tej moralności i tego życia serca, co płynie z serca matki z kolebki, które matka serdeczna sama szczepi całusami, łzą, prośbą — tej moralności nie zburzy u dziecka kto bądź.

Wychowujcie o Polki! córki wasze na dobre matki, czuwajcie po polsku nad rodzinami, a z waszego gniazda wyjdą bohatyrowie miłości! Dom rodziny, to najwyższa akademia dla serca, a matka to ochmistrzyni najsławniejsza, najuczeńsza, to mistrzyni w domu Bożym, bo nad dziatwą aniołami! *(C. d. n.)*

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Stokroć upewniała dziewica, że sztandar daleko jej milszym od miecza, bo ten życiu ludzkiemu zagraża.

Wodzowie angielscy musieli użyć wszelkiej surowości zwierzchniczej, aby żołnierza do boju prowadzić, ten bowiem widział w Joannie czarnoksiężnicę. Ba siłą tylko wyprawiono świeżego żołnierza do Francyi, ponieważ wiadomość o dziewicy w postaci groźnej wnet dostała się do Anglii.

Obóz angielski po straceniu najsilniejszych warowni był pełen trwogi.

Natychmiast postanowili wrogowie odstąpić od oblężenia Orleanu, który, widząc ich skupiających się, sądził że mu szturmem grożą. Dziewica naglila, aby się zbrojono ze strony francuskiej; lecz dnia niedzielnego bojowi poświęcić niechciała, owszem, kazała na otwartem miejscu postawić ołtarz i poleciła odśpiewanie dwóch mszy. Anglicy, zdjęci podziwieniem, przypatrywali się nabożeństwu jak wryci. Nastąpił ich odwrót. Francuzcy wodzowie chcieli iść za nimi w pogoń, lecz dziewica rzekła: na Boga mojego upewniam was, oni są w odwrocie, dajcie im czysty pokój, niech sobie idą, dzisiaj niedziela, więc składajmy dzięki Panu.

Dziewica dotrzymała słowa, i po upływie pięciu dni niebyło Anglika koło Orleanu, który był oswobodzonym.

Posłannictwo Boże ubogiej dziewczyny jeszcze nie było spełnione, więc nazajutrz pospieszyła do delfina, który był w obozie pod Loches niedaleko Blois i pobudzała go, ażeby się starał korzystać z okoliczności. Dom podskarbiego opuściła nie bez dowodów wdzięczności. Odprowadzono ją z Orleanu z wynurzeniem uczuć podziwu i wdzięczności. Król powitał ją w Blois z oczywistą radością. Miał dla niej wielki podziw, bo też i wszystko spełniło się w zupełnej mierze, cokolwiek przepowiedziała. Czując też i dobrze oceniając chwilę i położenie rzeczy, naglila dziewica, aby król jechał bez zwłoki do Rheims, na co wszelako się nie zgadzali jej przeciwnicy. Trwożyli też króla i pomnażali brak jego odwagi. Sam Dunois sądził, że wprzód należy pozdobywać inne miasta nad Loarą. I takich nie brakło, którzy w tej jeszcze chwili zarzucali Joannie czarnoksięstwo.

To wszystko spowodowało sławnego teologa dra Gerson do wydania pisma, w którem udowodnił, że dzie-

wica jest od Boga natchnioną i że król bez nadwerężenia sumienia swego z jej pomocy korzystać może.

Cuwiejnego usposobienia Karol VIII, niemogac pojąć szczęścia swego, naradzał się i naradzał bez miary, zamiast co by był powinien działać. Działo się pewnego razu, że przy zamkniętych drzwiach naradzał się z dwoma duchownymi. Dziewica przyszła z hr. Dunois i zapukała. Wstąpiwszy do królewskiej komnaty, w obecności spowiednika, księdza de Treves, i biskupa z Chartres, padła mu do nóg, a objąwszy jego kolana, mówiła: miłościwy delfinie, zakończ wasza miłość długie narady a spiesz ze mną do Rheims dla ozdobienia swojej głowy koroną, która się waszej miłości należy. Dziewica, mówiąc i czyniąc, była w wielkim zachwycie, upewniała, że co czyni i mówi, czyni z powodu głosów wołających na nią:

— Postępuj śmiało córo boża, bo pomoc boska nie odstąpi cię.

Czyniąc i mówiąc tak, upewniał później hr. Dunois przed sądem, była w niesłychanym zachwycie i upojona niewymownem szczęściem: drżąc na całem ciele tak rzewnie spoglądała w niebo, że wszystkich porywała.

Książę alençoński był z innymi książętami za tem, aby zdobyć Normandyą, bo też w tej krainie były jego posiadłości. Lecz Joanna obstawała przy swojem, wołając żywo: niechaj no mój król ukoronowan będzie, a wnet moc jego przeciwników zniknie jak pył. Doradzając powoływała się na to, że wszystkie jej przepowiednie ziszczone są, że więc i koronacya w Rheims szczęśliwie powiedzie się. Stało się wedle natchnionej dziewicy. Postanowiono udać się do Rheims, skoro miasta nad Loarą położone oswobodzone będą. Wydano odezwę do wszystkiej szlachty, która też, na wezwanie nie pozostawszy głuchą, zbierała się w znamienite hufce, ufając natchnieniu dziewicy. Tak dalece dumna szlachta porwaną była, że niewiedziała ile składać Joannie hołdu, że całowała jej ręce, jej szaty. Najpoważniejsze matrony klękały przed nią, a chociaż uboga pasterka smuciła się tem, jako znamionami bałwochwalstwa, niemogła jednakże ochłodzić zapału. W owej chwili przybył, dla ponoszenia wraz z nią trudów, drugi jej brat wraz z innymi Lotaryńczykami. (C. d, n.)

Druchna.

Obrazek z roku 1846.

Było to w roku 1852. Jechałem ze Lwowa w tarnowskie, dokąd proszony byłem na ślub córki jednego z kolegów moich w czasie wojny 1831. Jechałem w bardzo wesołem usposobieniu, bo każdy mieszkaniec miasta, gdy mu się wydarzy na czas jakiś porzucić to gwarne mrowisko, w którem tyle jest domów kamiennych, przemysłnych rozumów, tyle głów mądrych i rachunkowych, a serc tak mało; to jakby student jadący na wakacyę. Pora była prześliczna, łagodne jesienne powietrze, jakiego, prócz Polski, żaden kraj niema, napełniało piersi jakiemś uczuciem na poły swobodnem, na poły marzącem. Wiosna, to pora nadziei; jesień pora marzeń, które jak owe pajęczyny co na polach się snują, zda się, w nieskończoność niteczkami barw tęczowych, które słońce pozłaca. I krajobrazy mają odmienny typ w jesieni; mniej żywe świeżą zielonością, ale za to bogactwem barw, któremi się lasy cieniują urozmaicone, osłonionenie nieraz mglistą powłoką, kołyszą myśl marzącą do wspomnień przeszłości, przeciągających jakby szare obłoczki jesienne.

Dojeżdżałem już do celu podróży, i rad byłem temu, bo chciałem co prędzej uściskać dawnego kolegę pana Michała Jaglińskiego, z którym nie widziałem się od dawna, bo prawie od owego powstania. Zjeżdżaliśmy się i później nieraz w mieście, ale na czas bardzo krótki, a od lat dziesięciu nie widziałem go wcale. Wspomnieniami rozmarzony, widziałem go takim, jak niegdyś: młody, silny i dorodny uwijał zawsze wesół i gadała na koniku drugiego pułku ułanów. Wspomnieniami rozgrzany — bo jak dobrze powiedział Magnuszewski, stare wspomnienia upajają jakby węgrzyn stary — widziałem jak czwałował przedemną pan Michał, i widziałem owe sceny w naszych sercach zapisane, sceny, nam, cośmy je przeżyli, najpamiętniejsze i najdroższe — wszakże Bogiem a prawdą, wtenczas tylko żyliśmy prawdziwie, żyliśmy i sercem pełnem zapału i nadziei, ramieniem, w furczącą chorągiewkę zbrojnem!... A dziś!... lecz cóż nadadzą refleksye i rozpamiętywania?... czytelników znudzą, i obraz, co mi się w pamięci odbija, zaciemnią!...

Pan Michał, choć był starszy odemnie o lat kilka, i już wdowiec, gdy szedł na wojnę, miał ów humor złoty, który dawniej tak łatwo zdybać było można po naszych dworach i dworkach wiejskich, a który już dzisiaj staje się rzadkością. Naród nasz długi czas lekką biegał stopą, póki mu nie zaczęły dokuczać nagniotki!..... oj rozmaite nagniotki i ciała i duszy!...

Nieraz w marszu, choć było chłodno i głodno, a czasem i nie bardzo bezpiecznie, bo my pod Dwernickim musieliśmy piskorzem przesuwać się diable ciasnemi przesmykami, jak zaczął pan Michał rozpowiadać, a gadanie swe to facecyami, to śpiewką wesołą szpikować, to najstarsi nawet wiarusy śmiali się, gdyby rekruty. Był on trochę impetyczny, ale się to kolegom nie dawało we znaki, bo miał przecie karki nieprzyjacielskie, na których mógł zbywać swój humor opryskliwy.

Takim sobie go wyobrażałem — bo później rzadko go widując zmian żadnych nie dostrzegłem — dojeżdżając do jego majętności Brzezinami zwanej. Wiedziałem tylko, że majątek ma dostateczny, i że los go nawidzał często smutnemi wypadkami. Miał dwie żony i obie już pomarły; miał syna z pierwszej żony, i ten już spoczął w sile wieku pod zieloną mogiłą; została córka jedynaczka z drugiego małżeństwa, którę właśnie wydawał za mąż, a mnie na te gody zaprosił serdecznym i czułym listem. Wiedziałem nareszcie, że w roku 1846, mieszkając w okolicy, która była widownią owych scen okropnych, których rysy straszliwe zacierają się wprawdzie, ale pamięć narodu chowa je legendami męczeńskiemi — i on przebył jakieś niebezpieczeństwo, o którem niepewne tylko doszły mnie w czasie wieści.

A gdy o tem marzę, żywo przypomina mi się wrażenie jakiego doznałem na widok obszernego dosyć krajobrazu przy samym prawie wjeździe w tarnowskie. Płaskie położenie, nagość krajobrazu ledwie ożywionego tu i owdzie pożółkłym skąpych gajów liściem; smugi pól i roli to żółte, to czarne, bielejące się po bokach wydmy piaszczyste, a nad tem wszystkiem gęstsza dnia tego mgła jesienna, firanką zasłaniająca złote słońca promienie; wszystko to razem sprawiało jakieś dziwne uczucie, które cisnęło piersi mimowolnie. Posępność krajobrazu udzielała się mimowolnie z duszy, i oczami krążyłem w około, szukając śladów onych dni przeklętych na zawsze bratobójstwem skalanych. W takim krajobrazie prawdopodobniejszemi się mi wydawały te wszystkie okropności. Moja wyobraźnia wytężona wzmagała jeszcze to wrażenie łudząc oczy moje jakby snem na jawie. Powiew wiatru jesiennego wydawał mi się

to jękiem żałosnym, to rykiem rozhukanych tłumów; czerwieniące się liście na drzewach zdały mi się plamami krwistemi, i z roli świeżo oranej zdawała się mnie dochodzić woń tej krwi, co tak szerokiemi strugami rozlała się po tej ziemi.

Takim był mniej więcej krajobraz otaczający wieś Brzeziny, do której dojeżdżałem w dzień śgo Michała, jako w dzień ślubu. Niedaleko wsi pomiękły niejako mroczne i posępne rysy krajobrazu, tą sielskością prawdziwie rodzinną, co nasze wioski otacza, i dla serc polskich ma urok niepojęty. Bo wszędzie w każdej okolicy najwięcej z piękności krajobrazowych wydziedziczonej, wioska polska tuli się swemi chatami tak serdecznie i poczciwie do siebie, do kościołka, do dworu, że mimo zmian tylu jakie przebyliśmy, myśl patrzącego dostrzeże w głębi tę podstawę patryarchalną, na jakiej stało zawsze społeczeństwo polskie. I w każdej wiosce będzie choćby strumyk jaki, choćby wygon zielony, choćby jakaś lipa stara z krzyżem przy niej, co ci serce rozgrzeją, boć przypomną własny kącik rodzinny. I dym co się po nad strzechami słomianemi snuje, wrona co zakracze, i bocian na dachu, i piosnka w oddali o nucie prostej a rzewnej, której zawtóruje wierny kundys kudłaty — wszystko to razem tak bardzo miłe, bo nasze, bo polskie!...

Dwór pana Michała doskonale odpowiadał temu sielskiemu obrazkowi. Był to dwór obszerny, ale drewniany, jak dziadek stary trocha przycupnął do ziemi, ale zawsze gościnny, dwie przyczepione oficynki wyciągał ku wrotom jakby witające do uścisku otwarte ramiona.

Lecz już dosyć tych opisów, a może i nadto. Przebaczcie staremu bajarzowi!... jemu tak błogo w otoczeniu rodzinnych obrazków!...

Był to, jak mówiłem, dzień imienin gospodarza i ślubu jego córki. Więc też na dziedzińcu obszernym, do którego wiodła ogromna brama, dawno już zapewne drzwi pozbawiona, zastałem mnóstwo powozów to już wyprzężonych, to dopiero wyprzęganych. Widok tych powozów zbudził mnie dopiero z marzeń niebardzo idylicznych, i przypomniał że żyjemy na świecie mnóstwa wymagań towarzyskich, mających swą wcale nie idyliczną stronę. Na powozach po większej części dość wytwornych, ujrzałem mnogie herby, i przypomniałem sobie, że to przecie szlachcic zamożny, który wydaje córkę, jak mi mówiono, bardzo świetnie, za potomka rodu historycznego. Wszakże i sam pan Jagliński z prawdziwych pochodził karmazynów, i mnógiemi a znakomitemi w całej okolicy na mil dziesięć w około, szczycił się koligacyami. Mogłem się zatem spodziewać, że się zdybię z arystokratyczniejszemi wymaganiami towarzyskiemi, które nie są koniecznie przyjemne, a które choć by już czas było je zmodyfikować u nas, tłuką się jeszcze jako mary przeszłości po naszym świecie.

I prawda, zastałem aż dwie mitry w towarzystwie, hrabiowskich koron kilka, a mianowicie parę między niemi czystej krwi grafów galicyjskich; rodzaj to najmniej znośny, bo choć to jest narość nie naturalna na społeczeństwie naszem, gdyby wola jaka pod brodą, lub zbytni brzuch na przedzie, właśnie dla tego nadyma się najmocniej, i co siła dobywa na wierzch. Zawsze to nie ładnie i nie składnie pysznić się nie tem co wewnątrz jest człowieka, ale tem co tam zewnątrz świeci! jest to zawsze pawia robota!... Aleć mnie łatwiej już pawiom przebaczyć, niżeli indykom, które licho wie, czem się nadymają. Otóż to owi grafowie między ludźmi, to jakby indyki między zwierzętami.

Gospodarz przyjął mnie serdecznie, i nawet tak jakoś gorąco przycisnął do piersi, że mnie ominął trochę strach i przed pawiami i przed indykami. Lecz jakże był zmieniony!... do niepoznania prawie. Zadrżałem cały. Skurczył się, zmniejszał, zgarbił, wychudł i wyżółkł, aż mnie za serce ścisnęło. A na twarzy jego był wyraz takiego cierpienia, że mnie lodem coś przemknęło przez piersi. Z oczów zapadłych znikło dawne życie promieniste, a na ustach miasto dawnego uśmiechu, przemykał od czasu do czasu jakiś kurcz nerwowy. Chciałem z początku wejść w ton dawny, i coś mu z uśmiechem przebąknąłem o czasach minionych; lecz on nie rzekł ani słowa, kiwnął tylko ręką, za piersi się porwał i suchym kaszlem odpowiedział na te wspomnienia młode, które mi się z piersi wydzierały. Zrobiło mi się bardzo smutno, bo już mało nadziei przykładałem do tych kilku dni wakacyi, które sobie tak świetnie wyobrażałem. Ze spuszczonym na kwintę nosem, przewidując wielkie nudy, wszedłem do obszernej choć już nieco w ziemię zapadłej sali, gdzie się znajdywało całe zgromadzenie weselne.

Nastąpiły prezentacye!... Może się kto w tem lubuje, ale by to było przyjemnem, nieprzyzna — zda mi się — żaden człowiek z sercem. Nakłaniawszy się sowicie, odebrałem też nie mało ukłonów najrozmaiciej stopniowanych, chociaż pozornie oblekała je jedna forma towarzyskiej grzeczności.

— To moja córka!... Zosia!... — powiedział wreszcie gospodarz, i głos jego, gdy te słowa wymawiał, żywszego nabrał dźwięku.

Podniosłem oczy, i jakoś mi się cieplej zrobiło. Było to młode, ledwie dziewiętnastoletnie dziewczę, nie powiem piękne, czarujące, urocze, ale tak milutkie, tak jakoś serdeczne, i tak wdzięczne układem całym i ruchami, że czy chciałeś, czy nie chciałeś porywało cię uczucie sympatyczne. Była tam cała szczerota polskiej dziewczyny, która, niech so ie tam co chcą mówią wszędobywalscy podróżnicy, jest ideałem dla tych co czuć po polsku nie zapomnieli, tej piękności kobiecej, jest nietyle piękna wdziękami co je widzisz, ale stokroć piękniejsza jeszcze wyrazem, który bije z serca prosto, jakby z wiecznie żywego źródła. Na twarzy Zosi jednej tylko brakowało rzeczy: brakowało pustej wesołości, co inne dziewczęta tak cudnie zdobi. Była serdeczność, była dobroć, ale była razem jakaś głębsza powaga w rzewność przechodząca. Może to odbicie myśli dzisiejszych, może bliskość narzeczonego, który tuż przy niej stał z oczami tak zakochanemi, i tak w nią wlepionemi, że choć mocno z grafów pochodził, podobał mi się od razu. Bo już to zimnych panów młodych znosić nie mogę, a zakochanych wielce cenię. Zakochani, nawet wedle mnie, mają wielki rozum, bo rozum swego wieku!... Kto nie kochał, to głupiec oczywisty, i że był głupcem, na grobie by mu napisać należało, jakby temu, co otoczony wonnemi kwiatami, wśród bogactwa owoców najsmaczniejszych przy strumieniu kryształowym, ani jednego kwiateczka nie ucieszył się wonią, ani jednego nie spożył owocu, ani jedną kroplą wody spieczonych nie zwilżył ust!...

Swobodniej jakoś oglądnąłem się w koło siebie, i jakoś mi się wakacye przyjemniejszemi wydały. Ależ bo taki wieniec otaczał państwa młodych, wieniec z tylu kwiatów, i tylu pączków, a z pomiędzy nich takie świeciły gwiazdeczki, żywe latające robaczki świętojańskie o barwach i ciemnych i błękitnych — że: co tam jeszcze biło życia i młodości w starej doświadczeniami mnogiemi piersi, zadrżało i parło się do oczów i do ust kłócących się na wyścigi, które z nich pierwsze miało przemówić. Jednem słowem, w kole ślicznych druhn mój humor demokratyczny zaczął się bardzo godzić z arystokratycznem otoczeniem, które się na tak piękne zdobyło latorośle, i niekoniecznie się gniewałem, że i

ja z dzielnych pochodzę rycerzy, co się ongi zwali Toporczykami, a nawet z pewną wdzięcznością przypomniałem sobie szanownego Paprockiego, który Toporowi v. Starzy, niepospolite między polskiemi herbami daje miejsce. Lecz nagle ten chwilowy napad arystokratyczny wionął na widok takiej nadzwyczajności, jakiej ani mi się śniło zdybać w dworze potomka karmazynowych antenatów.

Jak mówiłem, pannę młodę otaczało grono rówieśnic, pomiędzy któremi najpiękniejsze i najstrojniejsze układały bukiety z rozmarynu i mirtu, ku którym już z różnych sali kątów leciały młode i pożądliwe młodzieży spojrzenia, śledzące pono raczej za zgrabnemi paluszkami, i figlarnemi druchn spojrzeniami, niżeli za won nem kwieciem. Ale tuż przy pannie młodej stała druchna także, druchna ubraniem, ale prosta dziewczyna wiejska. Jakkolwiek demokrata zawzięty, zgłupiałem z wielkiego zadziwienia. I popatrzyłem raz i drugi wytrzeszczając oczy i nie estetycznie i nie demokratycznie. Niema co mówić: zjawienie nadzwyczajne nie znikło wcale; druchną została prosta dziewczyna wiejska, ubrana czysto, przyzwoicie, ale tak sobie — by użyć szczerego wy razu szlacheckiego, od którego się odzwyczaić nie możemy,— po chłopsku!... I co więcej; ona tam widocznie pierwsze zajmowała miejsce, bo panna młoda jednem ramieniem opierała się o nią, a bieluchną rączką swoją ściskała ciemną i spracowaną dłoń wiejskiej dziewczyny. I wieśniaczka zajmowała to miejsce druchny z zupełną pewnością, bez najmniejszego ambarasu, jak by tam należała. Nic ją wspaniałości strojów arystokratycznych nie obchodziły; ona dla nich okanie miała; jednem tylko ciepłem, a tak serdecznie ciepłem spojrzeniem oblewała panną młodę, że moje zadziwienie traciło pomału swą, dość nie mądrą barwę.

I gdym się wiejskiej dziewczynie przypatrzył dłużej i bliżej, przekonałem się, że ona właśnie całemu temu obrazowi daje wyraz wyższej piękności i szlachetniejszego znaczenia, które mnie coraz więcej uderzać zaczynało. W spojźreniu jej z prostem ale pełnem uczuciem zwróconem na pannę młodą, była taka prawda wzniosła, że się w starym Toporczyku odezwała strona uczuciowa i artystyczna. A to młode w koronki strojne dziewcze, patrzało na prostą druchnę z wyrazem tak silnej wiary, takiego zaufania serdecznego, że zacząłem się kręcić w około, by się ludzie nie bardzo przypatrywali moim oczom, które zwilżać się zaczynały.

I cała postać tej prostej dziewczyny nie była zwyczajną. Rysy miała proste, niczem nieodznaczone; mogła mieć lat dwadzieścia kilka, i mimo tej powłoki bronzowanej, która na twarz naszych wieśniaków nakłada praca ciężka i cięższa jeszcze walka z żywiołami wszelkiemi, znać było ślady dawnej urody delikatniej nawet nacieniowanej, niż się to zwykle zdarza w ludzie naszym. Czoło miała otwarte i proste; oczy siwe mocno odznaczone dobrze zarysowanemi obwódkami; nos prosty z starożytnem nieco zakrojeniem; usta ściśnięte, pełne siły i energii. Co zaś jeszcze było dziwniejszem; ona miała widocznie dwie twarze. Tę szczególną różnicę wyrazu robiła wielka blizna, która z pod włosów wybiegała i koło skroni przelatująca głębokim śladem całą twarz przeorując, nikła aż koło ust zbiegając się z zagięciem, które było może niegdyś dołkiem uśmiechu, a dziś już tylko zmarszczkiem głębokim bolesnym. Ta część twarzy miała coś poważnego i posępnego, a nawet gdy próbowała uśmiechu, coś złowrogiego. Za to druga strona twarzy odznaczała się wielką swobodą, i słodyczą nawet, którą podnosił uśmiech zamglony i rzewny.

Tak się zagapiłem, że ledwie uważałem, jak mi jedna z młodziuchnych Zosi towarzyszek przypięła bukiet do guzika, obdarzywszy mnie w końcu wzrokiem pogardliwym, zasłużonym ze wszech miar przez moją nieuwagę. Ruch się zrobił w koło mnie; usunąłem się na bok; panna młoda już się do ślubu wybierała. Wyraz jeszcze rzewniejszy i tkliwszy nieco wystąpił na jej twarz, i ciągle się oglądała na swą druchnę wiejską... Miała łzy w oczach, kilką tylko perłami na rzęsach zawieszone gdy klęknęła przed ojcem, i przed rozmaitemi ciotkami prosząc o błogosławieństwo. Lecz gdy już wszystkie zebrała błogosławieństwa, może zanadto ceremonialne, dopiero wówczas żywszym ruchem postąpiła do prostej dziewczyny i padłszy jej z serdecznym uczuciem w ramiona:

— Maryniu!... — ty mnie pobłogosławisz! — rzekła tak rozczulonym i prawdą dźwięcznym głosem, a przytem takie dwa strugi łez serdecznych polało się z oczu, że mitry i korony hrabiowskie, a nawet grafy galicyjskie poznali się choć przez chwilę na sile prawdziwego uczucia.

I druchna przycisnęła płaczącą do serca przez długą chwilę uściskiem mocnym, i sama zapłakała nad głową panny młodej, którą razy kilka całowała najczulej. Pomięszały się razem łzy prostej dziewki, i córki karmazynowej rodziny. Bóg zapewne nie zrobił rozróżnienia między temi łzami, które z nich chłopskie, a które pańskie. By się do prawdy przyznać, musiałem i ja się do chustki udać, bo się nie na żart rozmazgaiłem.

Niebyłbym prawdziwym powieściarzem, gdybym nie był uczuł w tej chwili piekącej ciekawości, która mnie dręczyła niepospolicie. Nieśmiałem pytać, przeczuwając coś głębszego w tym całym stosunku, ale przypadek odkrył mi tajemnicę tej sceny całej. W kącie siedziała młoda, ale blada kobieta, w której poznałem daleką kuzynkę, którą kiedyś dzieckiem nosiłem na rękach: to była jak się dopiero dowiedziałem, wdowa po synie zmarłym pana Michała. Biedaczka siedziała samotna; cała w bieli, miała w jasnych pukłach włosów ukrytą czarną kokardkę.

Widząc jak ciągle patrzę na wiejską druchnę, rzekła do mnie smutno uśmiechnięta:

— Ciekawy jesteś kuzynku!... Choć się to boleśnie łączy z krótką a smutną mego życia treścią, powiem ci!... wszakże jest to na prawdę przedmiot ciekawy.

Nie od razu, ale urwanemi rysami opowiedziała mi biedna wdowa szczegóły, które ja zebrałem tu tylko w pewną całość artystyczną, przystępniejszą dla dzisiejszych czytelników. *(C. d. n.)*

Wrażenia Literackie.

(Ciąg dalszy).

Goethe jest prawdziwym ojcem tej teoryi tylekroć rozbieranej, i tak źle zrozumianej: *Sztuka dla sztuki.* Cóż z tego wynikło?... Oto Goethe jest tak potężnym artystą, że bałwochwalczy wielbiciele trzymając się tego: sztuka dla sztuki, przyszli do tego tylko, że nic utworzyć nie zdołali.

Poeta powinien umieć się o tyle wgłębić w serce, aby w niem odkryć tajemnicę jego wszystkich drgań namiętnych. Goethe, największy może artysta, jaki istniał dotąd, czy tego nie potrafił, czy potrafić nie chciał. W Fauście to właśnie, co brakuje, to tajemnica serca Fausta. Kto jest Faust? Nikt tego nie wie! .. Jest to człowiek w ogólności; jest to zwykła walka między czystością żywota a namiętnościami, między ideałem a ateizmem, ale jakże słabą jest ta walka, i jak łatwo zwycięża powątpiewanie. Tajemnicy Fausta szukać nam trzeba w głębi serca Goethego.

Nie będę się dalej wdawać w obszerniejsze wyjątki tego znakomitego rozbioru, bo by trzeba chyba przetłómaczyć cały ten artykuł. Dla zrozumienia głównej myśli uczyniliśmy już dosyć. Przytoczymy jeszcze w końcu kilka tylko wielkiej pisarki zdań, istnych łyskawic paradoxalnych, które wystarczą do zupełniejszego odcieniowania całości.

„Jedynem złem Fausta jest znudzenie; jest on starszym bratem splinowego i pogardliwego Werthera."

„Dramat Fausta to historya Goethowskiego muzgu, naszkicowanego po części z natury, po części z fantazyi; to historya wieku minionego; to Wolter i jego szkoła; to rezultat systemów Descarta, Leibnitza, Spinozy, których Goethe jest lirycznym i cudownym głosicielem."

„Fausta tak by można zreasumować. Bałwochwalcze uwielbienie *przyrody do bóstwa podniesionej* (wedle pojęcia wieku XVIIIgo), które pomieszało mózg potężny aż do pogardy istoty człowieczej, i do odrzucenia wszelkich uczuć, przywiązań i obowiązków ludzkich.

„Goethe, niewolnik wszystkiego co prawdopodobne, to jest prawdy zwyczajnej, nieprzyjaciel romansowego bohatyrstwa, jakoteż zupełnego zepsucia, nie mógł się zdecydować, aby człowieka uczynił zupełnie dobrym, ani diabła zupełnie złym."

Pani Georges Sand przechodzi dalej do Manfreda Byronowskiego. Na wstępie, by lepiej uwydatnić myśl tej całej paraleli, której nie chce mieć prostem porównaniem postawionych obok trzech mistrzowskich arcydzieł— wspomina słów kilka o Szyllerze, i tak się wyraża:

„Mówiąc o Goethem, umyślnie opuściłam Szyllera, bo nie lubię tego ciągłego porównywania, tych gorących stronniczości dla jednego lub dla drugiego, tej rywalizacyi między nimi, którą recenzenci na gwałt prawie wprowadzić chcieli. Może i moje serce ciągnie mnie dla pewnych powodów do Szyllera, ale przeto obydwom tej krzywdy robić nie myślę, by ich poniżać niejako błahem porównaniem."

Taka jest mniej więcej myśl szanownej recenzentki, którą podaliśmy w streszczeniu tem chętniej, że ta myśl pani Sand wydaje się nam wielce prawdziwą, i da się zastósować do mnóstwa tuzinkowych prób estetycznych, w których niedouczeni estetycy, wychodząc na ochotnika, naciągają wielkie dzieła wielkich ludzi g'woli własnym formułkom porównawczym, mającym składać świadectwo o ich głębokim rozumie i potężnym sprycie. Czytając nieraz takie studenckie elaborata, zdawałoby się na prawdę, że nie oni stosują się do wielkich autorów, których rozbierają; ale wielcy pisarze pisali dla nich, by się mogli mieścić w ich formułki do madejowskiego łoża podobne.

Lecz posłuchajmy, co mówi jenialna pisarka o Manfredzie. Wyłożywszy obszerniej stanowisko z jakiego się zapatruje na dramat fantastyczny, czyli — jak go nazywa — metafizyczny, nie potrzebujem już długo zatrzymywać się nad Manfredem, tem więcej, że już nam spieszno dostać się do ustępu o naszym wielkim wieszczu.

Manfreda pani Sand uważa być niejako spadkobiercą Fausta. W Manfredzie widzimy od pierwszego rzutu oka człowieka jeszcze nieszczęśliwszego, jeszcze winniejszego, jeszcze więcej potępionego, niżeli nim był Faust. Historycznie, jest to ten sam człowiek, bo to jest Faust wolny od nieznośnego towarzystwa Mefistofilowskiego; jest to Faust opierający się całej armii szatańskiej; jest to Faust zwycięzca zmysłów, zwycięzca próżnej ciekawości, próżnej sławy i gorących namiętności. Psychologicznie, to już nie ten sam człowiek; jest to człowiek nowy, bo to Faust przeistoczony, Faust, który przebył męczarnie życia czynnego, Faust morderca mimowolny ale zrozpaczony, Faust owdowiały po Małgorzacie, po nadziejach wszelkich i wszelkich pociechach. Nie znudzenie i niepokój szarpią mu duszę, ale żal i rozpacz. To już nie szyderczy Mefistofil, co go sarkazmem drażni, i upaja rozkoszą, aby go przymusić do życia na los szczęścia: to całe wojsko ciemnic piekielnych, to są złe duchy Arimana, to król szatanów w własnej osobie, który, wodząc za sobą Nemezys i złowrogie przeznaczenia, przystępuje do walki śmiertelnej. Faust — Manfred wyjdzie z niej zwycięzko, ale katusze stokroć okropniejsze otaczać będą jego łoże śmiertelne."

„Ten uowy Faust jest więcej żyjący, jest przystępniejszy dla naszych sympatyj, daleko szlachetniej człowieczy. Nie zdybujemy w nim tyle przeciwieństw co w Fauście. Dzieje jego nie są nam znane, ale jego serce jest nam odsłonięte. Serce to jest otwarte przed nami, krwią ciekące; on cierpi, a więc go rozumiemy, my to znamy, bo cierpienie jest nas wszystkich udziałem, i nie trzeba popełnić występku aby wiedzieć, co to jest płacz wieczny i cierpienie niewyleczone."

„Manfred zatem jest człowiek daleko wyższy od Fausta. Nie ma mniej od niego poczucia i zapału lirycznego dla piękności przyrody, ale on je czuje inaczej; on nie materyalizuje myśli Bożej; przeciwnie on spirytualizuje materyalną przyrodę... Fantastyczność Fausta jest zatem w nieporządku i ślepym wypadku; Manfreda zaś fantastyczność w Bożej mądrości i piękności."

„I właśnie dla tego Byron mniej artysta jak Goethe, to jest, mniej zgrabny, mniej wykończony, mniej logiczny; w wielu względach wydaje mi się więcej poetą, i daleko więcej religijnym, niżeli większa część naszych tegoczesnych spirytualistów."

Tu recenzentka wspomina o zarzucie Lamartina w dwóch jego sławnych wierszach uczynionym Byronowi, jako by niebył zbyt religijnym, i z tego powodu dłużej się nad tem rozwodzi, co wszakże jako nienależące bezwzględnie do przedmiotu pomijamy, by bezpotrzebnie nieprzeciągać artykułu naszego. Wyjmujemy jeno samo tego ustępu zakończenie, jako wyświecające dobitniej sąd pani Sand o Manfredzie Byrona.

„Byrona więcej niezaprzeczenie obchodziła nauka Boga, niżeli samego pana Lamartina. Nie dbał o to, by uchodził za ateusza lub skeptyka; on!... który instynktowo był najwięcej religijnym pomiędzy poetami. Zmęczony, że w tym wieku zabobonnym z jednej, a niewiernym z drugiej strony, nadaremnie szuka formułki, któraby wiarę jego należycie oświecić zdołała, pisał on ręką od gorączki drżącą: „Umrzeć!... wrócić do nicości, z której się urodziłem do życia i żywego cierpienia... Nadto zazdroszczę tego milczenia snu bez sennych marzeń, bym za niem rozpaczał.. . Ludzie stają się tem, do czego się sami nieprzyznają, i czego nie śmią sobie powierzać nawzajem."

Na poparcie zdania swego o tej instynktowej Byrona religijności, pani Sand przytacza jeszcze kilka ustępów z Manfreda, które mimo cudnie poetycznego ich uroku już dla szczupłości miejsca pominąć jesteśmy przymuszeni, i spieszymy dać jeszcze wyobrażenie o dalszym rozwoju jej myśli głównej w osądzeniu Byronowskiego Manfreda.

„Goethe stworzywszy Mefistofilesa pełnym rozumu i szyderstwa, aby go uczynić dla wyobraźni strasznym, musi się uciekać do obrazków okropnych, do straszliwych widziadeł gorączkowych. Pewnie nic więcej w tym rodzaju stworzyć by się nie dało; naśladowanie byłoby parodyą tylko. Byron nie był w tem niebezpieczeństwie; jego jeniusz ciemny i majestatyczny pogardził temi drobnemi środeczkami, którym iskrzący się jeniusz Goe-

thego umiał tyle nadać siły. Byron nie widział w szatanie jeno uosobienie rozpaczy, jaką w sobie nosił, a przecież w pojawieniu się tego bóstwa piekielnego, był niemniej od Goethego artystą. Okazał nawet więcej smaku estetycznego, nie nadając swoim postaciom fantastycznym tych straszliwych kształtów do malarstwa raczej należących.“

„Czy może być co wspanialszego w uczuciu i wyrażeniu, jak ta niezwyciężona władza Manfreda w chwili śmierci, gdy pogardza rozpaczą, która z nim walczy o ostatnie życia tchnienie, gdy odnosi zwycięztwo nad wszystkiemi żalami swemi, nad powątpiewaniami i wszelkiemi cierpieniami życia za pomocą wysokiego pojęcia o mądrości i sprawiedliwości odwiecznej. I powiada: Dusza nieśmiertelna wynadgradza albo karze sama, ma własne myśli cnotliwe albo zbrodnicze.“

Nie jestże to prawdziwe natchnienie?... nie jestże to szczytne pojęcie ideału, gdy poeta otoczon ciemną bigoteryą swego wieku, powiada:

„Nie! duch złego nie przeważa w świecie władzy niebios! Nie!... szatan nie ma władzy nad nami. Arywan jest zwyciężony. Zasada złego musi runąć do nóg archanioła, a tym archaniołem to człowiek oświecony promieniem boskim, co sam Bóg siał na niego; bo jego jest zadaniem, jego człowieka natchnionego, archanioła, uczonego, filozofa czy poety, aby ten promień oczyścił z ciemności, jakiemi go otaczacie, wy fałszywi prorocy, wy nieuczeni, wy co obmawiacie boską doskonałość.“ *(C. d. n.)*

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Jadwiga królowa polska, odegrana dnia 29go p. m., choć to dramat i polski i historyczny, i nie przestarzały jeszcze, należy do tych utworów dramatycznych, które już mogą bezpiecznie spoczywać w składzie repertoarowym. Krom tytułu, bardzo obiecującego, nic niema w całej sztuce, coby zająć mogło, ni silnego działania, ni wybitnych charakterów, ni zajmującego zawikłania; ni nawet tej wzniosłości myśli tu i owdzie rzuconych, wypowiedzianych również wzniosłym językiem; jest to sobie ciągła a bardzo zwykła gadaninka, do której nie trzeba wcale królów, książąt, wojewodów i kasztelanów. Właśnie ta sprzeczność tytułu z treścią razi, bo wygląda na umyślnie wywieszony szyld, mający nęcić gości do pustego sklepu. Najciekawszym w całej sztuce faktem jest samej sztuki zakończenie, w której książę rakuzki jak nie pyszny zmykać musi przez komin. Sam autor hr. *Przeździecki* (napisał to będąc bardzo jeszcze młodym) dzieli podobno zdanie nasze, bo jak słyszeliśmy, upraszał już nieraz, by dramat ten złożono ad acta. Przy takiej sztuce nie ma co mówić o grze artystów, bo największy artysta z niczego nic nie zrobi, ani też jest wstanie dodać ognia do martwych słów i zimnego działania, które jego samego oziębić i znudzić musi. Powiemy chyba, że o ile można, unikać trzeba takich historyczno bohaterskich sztuk, bo my już wszyscy w naszym wieku handlu i przemysłu nieumiemy nawet chodzić po bohatyrsku. Odzywało się to w tej sztuce, gdzie sami przecie senatorowie i książęta, ba nawet sama królowa, kroczy po scenie. Aby prawdę wyznać, najmniej monarszą postawę miała sama monarchini. Ruchy wszystkie prawie przypominały może królowe z komedyi, które zupełnie inaczej wyglądają, jak królowa tragiczna.

O *Krakowiakach* części drugiej (dla czego nigdy pierwszej części nie grają, nie wiemy wcale) nic także nowego nie mamy do powiedzenia, prócz tego chyba, że tym razem cała operetka szła mniej żywo i raźnie, niż zwykle, a co do części śpiewnej, która się bez zachowania taktu obejść nie może: „jak o Ryczywole, zamilczeć wolę.“ Dodamy, że p. *Wisłocki* był tym razem, jako organista, wybornym i pełnym humoru. Wspomniemy także o p. *Dembickim*, który jako góral wybornie komikował. A gdy o nim mowa, przyznać trzeba po sprawiedliwemu, że jest to artysta wcale pożyteczny, i ma w sobie spory zasób siły komicznej. Stara się on każdą najmniejszą podnieść rolkę; to mu się często udaje, lecz też nieraz zbytniemi wydają się jego usiłowania, bo są role, które mechanicznie tylko odegrać należy. Pokuszanie się w nich o jakieś oryginalności nie jest na swojem miejscu.

Najważniejszem tego tygodnia zdarzeniem teatralnem był występ gościnny p. *Ładnowskiego* i jego córki. Panna *Ładnowska* grała w znanej *Fryd. Skarbka* sztuce: *Gdybym była sierotą*. Jest to dramat, czyli raczej tragiedya, tak swą bezpotrzebną okropnością drażniąca nerwy, że porównać by ją chyba można do owych bajek ze strachami, jakiemi dzieci karmią niańki. Nie idzie tam o wielką prawdę, ale o podniesienie włosów do góry ze strachu. Lecz więcej jeszcze powiedzielibyśmy. Krzyczą na niemoralność niektórych sztuk francuskich, w których dosyć wyraźnie występuje na jaw życie tego tak zwanego *Demi-monde*. I zapewne niema tam wiele moralności, ale koniec końców widzimy tam ułomności ludzkie, które nas jednych dla drugich pobłażliwszemi przynajmniej czynićby powinny. Lecz w tym dramacie widzimy jakiś fatalizm opatrznościowy, którego źródła u samego tylko Boga szukać trzeba, a który niewiedzieć dla czego prześladuje ludzi najlepszych, nic nikomu nie winnych, i przez zbieg okoliczności pędzi ich w szaleństwo i śmierć, nie odsłaniając ani rogu jednego tego tła ciemnego, by błysnąć promykiem choć pociechy. To byśmy nazwali największą i najszkodliwszą niemoralnością w utworze każdym dramatycznym, który koniec końców ma nam odzwierciedlać życie. Główną rolę tej nieszczęśliwej dziewczyny, piętnem fatalizmu naznaczonej, grała oczywiście panna Ładnowska. Była gościem tylko; dla tej jak dla innych przyczyn, lepiej podobno gdy się powstrzymamy od wszelkich uwag krytycznych. Pozwolimy sobie tylko powiedzieć, że ma głos silny, który już jest wielką własnością dla artystki dramatycznej, ale jego modulacya zanadto śpiewna wiele zostawia do życzenia. Pan Ładnowski w drugiej komedyjce: *Bankructwo Partacza*, okazał się znakomitym zawsze i bardzo rutynowanym artystą, mimo wieku przybywającego, a ubywającego (w śpiewaniu) głosu. Jest to zawsze artysta, który może jeszcze pracować, i każdej scenie wiele prawdziwego przynieść pożytku.

Powiemy jeszcze o komedyi Chęcińskiego: *Szlachectwo duszy*, że choć ją znamy dobrze, z prawdziwą słuchaliśmy jej przyjemnością. Otóż to trzeba przyznać, że tutejsi artyści grają tę komedyę z prawdziwie artystycznem wykończeniem. Tam niema jednej roli słabiej odegranej, jednego słowa fałszywie powiedzianego. Pan *Pfeiffer* jako *Wilczura* wybornym, prawdziwym jest szlachcicem; pełnym energii męzkiej, ocieniowanej salonową ogładą, jest p. *Królikowski* w roli *Barona*. Panna *Biedrońska* w roli *Baronówny* jak zawsze ujmująca szczerotą i serdecznością, która musi być naturalną, bo udania w jej grze największy jej niedostrzeże przeciwnik. Pani *Monikowska* jako *baronowa* umiała się bardzo dobrze utrzymać w charakterze swej roli oddanej — że się tak wyrazimy — z godnością dobrego wychowania.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.